

Blondynek na Miejskiej Górze

16.02.2012.

Pierwszy dzień wolności: Choszczno

„2 lutego 1945 r. rano w samym Choszcznie panowała cisza. Tylko gdzieś od południa i wschodu echo niosło odgłosy ogromnej strzelaniny. Pod opieką starego wachmana, jak co dzień, wyszedłem z mego lagru do pracy w cukrowni...

Przez całe miasto, bo nasz obóz mieścił się obok koszar. Na ulicach z rzadka tylko prędkim krokiem ktoś biegł w sobie tylko znanym kierunku. Czas na ciebie, bracie, pomyślałem. Tu nie ma co już robić. Trzeba dostać się z miasta.

Bo choć gdzieś tam tylko oddziały Volkssturmu, walka wisi w powietrzu. Mówię więc wachmanowi: cześć stary! Ale ten dziadyga zlaź z roweru i ściąga z ramienia karabin. Nie namyślałem się długo. Buch szwejką w łeb, zabrałem rower i nie oglądając się ruszyłem w drogę. Nawet nie strzelał za mną. Popędziłem przez ulice, chciałem się bowiem dostać czym prędzej do Zamęcina, gdzie na robotach przymusowych była moja narzeczona, Irena. Już nie pamiętam dokładnie gdzie, ale chyba koło centrum miasta, usłyszałem wybuch pierwszego pocisku artyleryjskiego. A więc to już Rosjanie? Jeszcze mocniej nacisnąłem pedały. Byle za miasto. I jeszcze chwila trwogi: przejeżdżam przez tory kolejowe, na których tkwi ss-owski pociąg pancerny, a wokół setki pijanych w sztok „trupich główek”. Nie zwrócili jednak na mnie uwagi, przemknąłem do Zamęcina. To zaledwie 4 kilometry na południe od miasta”.

Tak to zapamiętał były jeńiec wojenny, robotnik przymusowy w choszczeńskiej cukrowni przez 4 lata wojny, dziś mieszkaniec Choszczna, EDMUND MARCINKOWSKI. Tym pierwszym strzałem 2 lutego 80 korpus piechoty gen. mjr Wiktora Wierzbickiego rozpoczął trzytygodniowe oblężenie i walki o Choszczno. Gdy 9 lutego Choszczno zostało całkowicie okrążone, w jego murach zamknęło się z zamiarem szaleńczej obrony blisko 20 tys. hitlerowskich żołnierzy. Przewodził im fanatyczny hitlerowiec, gen. mjr Voigt.

Wojska obu stron zaległy w walkach pozycyjnych. Radziecki korpus oczekiwał dodatkowych sił, zwłaszcza artylerii. Gen Biełow skierował na Choszczno kolejną jednostkę, tym razem 9 korpus piechoty gwardii gen. lejtn. Grigorija Chaluzina. Nim jednak gwardziści zdążyli się przetranslokować, nastąpiła niemiecka kontrofensywa spod Stargardu. Tym uderzeniem na południe Hitler i jego sztab chciał rozciąć radzieckie armie, zniszczyć je (zwłaszcza armie pancerne) i oddalić widmo bezpośredniego zagrożenia Berlina od strony Odry. 16 lutego Niemcy ruszyli. Po 2 dniach walki, w toku których niektóre wsie, jak Sławęcín czy Pakość, kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk, hitlerowcy dotarli siłami 3 korpusu pancernego SS do okrążonego Choszczna, odblokowali tamtejszy garnizon i nie wierząc w trwałość tego sukcesu pośpiesznie wycofali główne siły na północ, za Inę. W samym mieście zostawili ariergardę w sile 3 tys. ludzi. 19 lutego hitlerowców znów przepędzono za Inę, Choszczno zostało ponownie okrążone, a w następnych dniach w krwawych bojach 80 korpusu i 9 korpusu gwardyjskiego – wyzwolone.

Miejska Góra w Choszcznie. Niewielkie, pokryte lasem wzniesienie nad północnym brzegiem wielkiego jeziora. U stóp, jak na dłoni, niemal całe miasto. Po lewej, za jeziorem, widoczne z dala budynki filii „Famabudu” – ongiś niemieckiej cukrowni. Na wprost nadbrzeżny bulwar: ulice Chrobrego i Kościuszki, w głębi Starówka z górującą nad miastem wieżą gotyckiego kościoła, po prawej niejskie zabudowania północno-zachodniej części miasta, kończącej się zwartymi budowlami koszar, w których Niemcy przez całą wojnę trzymali jeńców wojennych i przymusowych robotników. Na dobrą sprawę i bez lornetki można z tej Miejskiej Góry dojrzeć każdy zakątek miasta. Patrzę i odtwarzam w pamięci, staram się iść myślą za opowiadaniem, które przed kilkunastoma minutami usłyszałem z magnetofonowego nagrania w Bibliotece Powiatowej. Miał rację Niedźwiedzki – tylko stąd można było w lutym 1945 r. prażyć celnie broniących się w Choszcznie hitlerowców. Trafnie wybrane dla artylerii miejsce.

Bo Stanisław Niedźwiedzki, do niedawna jeszcze sekretarz nadleśnictwa w Bierzwniku, był w te lutowe dni artylerzystą, jednym z pięciu Polaków, wcielonych do radzieckiej specjalnej jednostki artylerii. Ona to właśnie pośpieszyła wówczas na pomoc atakującym Choszczno piechurom. Po walkach pod Olsztynem, a następnie pod Piłą i Wałczem jednostkę przerzucono pośpiesznie na południowe krańce dzisiejszego województwa szczecińskiego. 21 lutego stanęli w Choszcznie, na Miejskiej Górze. Wkrótce okopano działa, rozejrzano się po okolicy. Na jeziorze lód kruchy jak szkło. Nie sposób się wtedy przedostać, a kilku śmiałków, którzy podjęli taką próbę, straciło życie

w najgłupszy z możliwych na froncie sposób – utonęli. Atak frontowy? Każdy dom, to twierdza, tu Niemcy łatwo skóry nie sprzedadzą. Od strony cukrowni jeszcze gorzej.

Wspomina Niedźwiedzki: Komentowano na stanowiskach bojowych sytuację jednoznacznie – bez samolotów nieprędko wykurzymy stąd szwabów. Najpierw jednak przyleciały niemieckie „stukasy” i te nam dały pierwszą szkołę. A potem my rąbnęliśmy. Mój dział ostrzeliwał cukrownię, Osiedle Południowe (dzisiejsze kwatery ulic 1 Maja, 9 Maja, Kochanowskiego, Dzierżyńskiego) i stację kolejową. Mój serdeczny druh Iwan i leningradczyk, zwailiśmy go „Blondynkiem”, czołowy śpiewak plutonu, uwijali się przy działach szczególnie żywo. Nad miastem rozszalał się huragan ognia, bo i Niemcy już odkryli nasze stanowiska, nakrywając je setkami pocisków stojącej tuż za miastem artylerii. Celnie strzelali, a wkrótce odkryliśmy przyczynę tej celności – na katedrze, na wieży siedział ich obserwator. Za wszelką cenę chcieliśmy go stamtąd wykurzyć – poleciały więc pociski. Gdzieś od strony Osiedla Południowego odezwały się i karabinowe salwy. Nasza piechota z 311 dywizji szturmuje. Całodzienna walka nie przyniosła nam, niestety, sukcesu. Hitlerowcy bronili się zacięcie, ostrzeliwali też nasze wzgórza. Zaryliśmy się głębiej w ziemię, a mimo to padli pierwsi bojcy. Smutno. „Blondynek” jedynie nie tracił animuszu, zapewniając, że jutro po naszej artyleryjskiej robocie ni śladu nie ostanie się ze szwabów. Wieczorem dowieźli nam na raz i obiad i kolację, a najważniejsze – machorkę. Już po zmierzchu poszła do ataku gwardyjska piechota z 9 korpusu, wspierana tankietkami. Wpadli na ul. Chrobrego. Ostra walka. Niebawem przenosimy ogień dalej, bo piechurzy ponoć dochodzą już do centrum miasta, do skrzyżowania ulic przy sądzie (dziś siedziba Prez. MRN). Wzmacniamy też dla osłony ogień na stację kolejową i cukrownię, skąd walą na całego Niemcy. Nasz atak jednak nie udał się w pełni. Zdobyczą dnia był zaledwie stumetrowy pas zabudowań miasta od południowego wschodu. I potworna noc – salwa za salwą na nasze wzgórza, potem straszliwe bombardowanie lotnicze. Ani sekundy snu. A rano piechota po artyleryjskiej nawale ogniowej poszła znów do boju. Ulicą Kościuszki idzie w głąb miasta całe mrowie czerwonoarmiejców. Koło południa zmienia się rubież ataku, ostrzeliwujemy już okolice szkoły i remizy strażackiej, znać, że piechota znów zdobyła kawałek przestrzeni. Od huku głuchną uszy. Wokół swąd prochu i spalenizny. W mieście płoną już liczne budynki. W ciągu tego dnia musimy jeszcze trzykrotnie zmieniać kierunek ostrzału, bo od koszar po trzykroć próbują hitlerowcy natarcia na nasze stanowiska. Jakież krwawe straty po obu stronach! A nasi już zajęli połowę miasta.

Noc: nieustanny ostrzał, nadchodzą posiłki w ludziach, bo amunicji mamy dość, cieszy ciepła strawa. A o godz. 4 od nowa wojenna robota. Gruchnęły wszystkie działa naszej jednostki, ryknęły moździerze, z głębi basowała ciężka artyleria, a w sukurs przyszły katiusze. Przez 45 minut zmasowany ogień. Tam już w mieście chyba nikt nie został żywy. Moja bateria, jak dziś pamiętam, strzela na skrzyżowanie ulic Wolności, Niedziałkowskiego i Bohaterów Warszawy. Tam właśnie teraz przebiega linia frontu. Niemcy jednak bronią się. Najpierw nadleciały samoloty, potem gorączkową strzelaninę rozpoczęła i artyleria. Lecą nam na głowy gałęzie i sosnowe igły. Gina chłopcy. Nawet nie zorientowałem się w tym huku i rozgardiaszu, że nie ma w pobliżu „Blondynka”, zapodział się też

gdzieś i Iwan. Gdzieś koło południa strzelanina zaczęła z wolna cichnąć. Walka wygasła, choć jeszcze gwałtowne wybuchy słychać było koło stacji kolejowej i cukrowni. To zapewne były już ostateczne ogniska oporu hitlerowców.

I wreszcie alarmująca, radosna wieść – poddali się! Nie wiem po co, ale wszyscy: major, kapitan, ja, żołnierze pobiegliśmy, jak szaleni, do miasta. Na ulicach dym, trupy, zwały gruzu. Doszliśmy tak do zgliszcz teatru. Postaliśmy, popatrzeliliśmy i wróciliśmy na naszą Miejską Górę. Już spokojni po walce, ale strasznie zmęczeni. Na stanowiskach wieść jak nóż w serce. Wśród poległych kanonierów nasz druh serdeczny, zawsze wesoły i rozśpiewany „Blondynek”. Nie zapamiętałem jego nazwiska. Wraz z Iwanem zanieśliśmy go na drugą stronę szosy, do masowego grobu, w miejsce, gdzie dziś u stóp pomnika rozlega się wojenny cmentarz.

Tu na krańcu tak bardzo zniszczonego przez wojnę miasta, „Blondynek” i ponad 3000 innych radzieckich żołnierzy znaleźli kres swego wojennego szlaku. Był młody, niespełna 20 lat, przed nim całe życie. Nie doczekał końca tej przeklętej wojny...

TADEUSZ KARWACKI

* Artykuł ukazał się 40 lat temu w Głosie Szczecińskim, dokładnie 23 lutego 1972 roku.

* Edmund Marcinkowski zmarł 15 marca 1972 roku i jest pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Choszczynie.

* W listopadzie 1981 roku ten artykuł znalazł się także w książce zatytułowanej "Czerwone gwiazdy białe orły w walkach o wolność Ziemi Szczecińskiej" – wydana została nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej. Choć znawcy tematu

podkreślają, że T. Karwacki przejawiał w niej wiele tematów na tzw. "potrzeby ówczesnego systemu", to jednak książka jest dziś nieosiągalna, przynajmniej w Choszcznie.

*Zdjęcia, które ubarwiają ten tekst i poniższy fotoreportaż zostały wykonane podczas ubiegłorocznej rekonstrukcji "Kierunek Choszczno 66"

Tadeusz Krawiec

{gallery}gunko{/gallery}